

## NA ZAMÓWIENIE

Zagrała Pani właśnie rolę Klary Zachanassian w „Wizycie starszej pani” Dürrenmatta na scenie warszawskiego Teatru Kameralnego, z którym jest Pani od lata związana. Która to już Pani rola teatralna?

Nie prowadzę takich statystyk. Zawsze pyta się mnie raczej o ilość ról królowych. Tych także nie liczyłam. Bo trzeba by było do nich dodać jeszcze role królowych salonów, jak Izabela Łęcka w „Lalce” czy hrabina Chimena w „Cydzie”. Pamiętam, że byliśmy z „Cydem” w Związku Radzieckim i tamtejszej publiczności bardzo się podobało, że Chimena klóciła się z królem. Obie sztuki reżyserował Edward Wierciński, którego nie dość oplakaliśmy. Wciąż jest u nas ogromne bezrybie reżyserskie. Wierciński codziennie był w teatrze, pilnował spektaklu. Nie można było niczego odpuścić, bo wszystko miał na oku.

Dzisiaj nie miałby na to czasu, bo pracowałby w telewizji i filmie...

Nie byłabym tego pewna. Tylko Pani może sobie pozwolić na luksus bycia niezależną gwiazdą Teatru Polskiego. Nie wszystkich na to stać...

Być może. Trzeba umieć dozwalać sobie pracę, układać ją tak, aby nic nie odbijało się na jakości.

Aktorzy, szczególnie najmłodsi, żyją dziś w wielkim zabieganiu.

Wszyscy żyjemy w pędzie i chcemy zarobić. Ale na to się jednak pracowało całe życie, żeby w pewnym momencie móc podyktować warunki: tego się podejmuję, a tego nie. W przeciwnym razie, ma się do czynienia z artystyczną – przepraszam bardzo – prostytutką, a mnie to nie odpowiada.

Pani zaczynała od razu jako młoda, śliczna i utalentowana...

No cóż, zdolnych jest wiele. Utalentowanych znacznie mniej. Jak mówili moi koledzy, rozbiłam mur własną głową i weszłam do środka.

I też była Pani tak wtedy zapędzona jak dzisiejsza młodzież?

Nie, ponieważ wszystko nie było wówczas tak skomercjalizowane. Oczywiście, że młodzi aktorzy bardzo chcieli występować w radiu i filmie, ale nie za wszelką cenę. Jeśli jakaś rola była sukcesem, jak moja Solange w „Lecie w Nohant” Iwaszkiewicza, gdzie miałam zaszczyt wystąpić u boku Marii Przybytko Potockiej i dałam sobie z tym radę, to wtedy odnosiło się też sukces finansowy. Zaczynałam grać Solange z pensją 300 złotych miesięcznie, co też wcale mało nie było. Potem otrzymywałam już dwa razy więcej. A to była gaża pułkownika u Piłsudskiego. Dzisiaj, żeby nie wiem jak dobrze zagrała, to i tak dostanę swoją pensję, bo jestem urzędnikiem państwowym, w pewnym sensie. Mogę mieć tylko jakieś dochody dodatkowe za pracę w telewizji.

Czyli, gdy zaczynała Pani swoją karierę aktorską, rodzice już nie musieli Pani pomagać?

Ale skąd! Ja świetnie zarabiałam. Prawie od razu wystarczyło mi na wyjazd do Paryża.

Zachwyliła się Pani Paryżem?

Zakochałam się w nim na całe życie. Tak więc, moje początki zawodowe były bardziej romantyczne. Dzisiaj żaden sukces teatralny nie daje tak ewidentnych korzyści. Podobno w filmie można nieźle zarobić.

Tak. Tylko, że karierę filmową zrobiło dziś dwu, trzech chłopaków. Kobięcych ról niestety w kinie nie ma.

Kobiet nie ma dziś w filmie i trudno im utrzymać się dłużej na scenie. Pani jest jedynym chyba wyjątkiem. Jak to wytłumaczyć?

Może tym, że ja w porę zmieniłam swoje emploi. Kiedy bardzo niechętnie zbliżałam się do sześćdziesiątki, powiedziałam sobie, że trzeba się pożegnać z rolami amantek na zawsze. Trzeba po prostu mieć odwagę nie wracać do powłóczystych spojrzeń. I wtedy zagrałam Dulską, z którą objechałam Wielkopolskę i która przez trzy lata była na scenie Teatru Polskiego. Po tej wiedzy w przydeptanych pantoflach nie musiałam się więcej bać, że zrobię coś, na co jest już za późno. A potem był cały szereg ról, które nie wymagały ode mnie młodości, lecz kunsztu. I tylko dzięki temu można się utrzymać na scenie. Natomiast aktorka, która uporczywie kręci sobie na głowie jakieś loczki – a metryczka już nie jest od loczków – wygląda żałośnie. Żadna mądra osoba tak by nie postąpiła.

A jak się Pani czuje w roli Klary Zachanassian?

Ta rola bardzo mi smakuje, bo Klara jest osobą władczą. A to się mieści w moim rdzennym emploi. Dzięki pieniądzom, które Klara posiada, ona też jest królową. Może przez to rządzić ludźmi, może kupić całe miasto. Ma władzę większą od niejednego prezydenta, który musi dzielić się nią z parlamentem. Jej władza jest niepodzielna i autentyczna.

Pani ma w sobie coś tak władczego?

Mam. Nie zauważył pan?

Nie. Może to tylko sceniczna poza.

Ależ skądże! To kwestia psychiki. Jedni się rodzą ulegli, bluszczowaci, a drudzy potrafią powiedzieć „nie”.

Czy już wiele razy mówiła Pani w życiu „nie”?

Bardzo wiele razy.

Kiedy powiedziała Pani to najważniejsze „nie”?

Tego w tym wywiadzie nie mogę powiedzieć.

A kiedy mogła Pani swoją władczość najlepiej realizować?

Na scenie. Natomiast nigdy nie w życiu. Zawsze byłam uprzejma dla wszystkich, którzy mi pomagali a zwłaszcza dla służby. Żyłam z nimi w wielkiej, ludzkiej przyjaźni. Na scenie wyżywałam się za to jako osoba władcza. Z natury miałam władczy i mocny głos. Nie zdarzyło mi się mieć chrypkę.

Nie zagrałaby Pani zatem nigdy roli subretki, słodkiej idiotki?

Nigdy w życiu. Po co? Prywatnie też nie cierpię słodkich idiotek.

Jeśli się jest aktorką i każą grać, to się chyba gra...

Mądry reżyser nie dałby mi takiej roli. Spojrzyłby na mój łuk brwiowy, posłuchał głosu i doszedłby natychmiast do wniosku, że sierotką Marysią to ja nie jestem.

Miała Pani chyba przeciwieństwo swym kóncle role, które były przeciw Pani, a zdecydowała się Pani z nimi zmierzyć?

Różnie z tym bywało. Wydaje mi się, że w takich trudnych rolach pomagają technika, rozum, dyscyplina i reżyser. Zasadniczo jednak

# Nina Andrycz



FOT. ARCHIWUM AKTORKI

najlepiej gra się to, co jest bliskie psychiki. Jeśli się wchodzi na obce podwórko, może być niebezpiecznie.

Nawet z Pani doświadczeniem jest niebezpiecznie?

Zawsze. Bałam się, na przykład, roli w „Krzestach” Ionesco. Bał się też Ignacy Gogolewski, który jest moim partnerem. Oboje jednak wygraliśmy i ogromnie tę sztukę pokochaliśmy. Jeździliśmy z nią po kraju i byliśmy w Ameryce. Musiałam do roli w „Krzestach” narzucić sobie pewne rzeczy. Na przykład, chodzić na krzywych nogach, choć z natury mam nogi proste i niebrzydkie.

Co Pani zrobiła, aby mleć krzywe?

Nauczyłam się odpowiednio chodzić. Można to sprawdzić. Proszę przyjść na spektakl do Teatru Kameralnego.

A w „Wizycie starszej pani” ma Pani protezę zamiast nogi.

Rzeczywiście, przyczepiono mi do nogi protezę, która mi robi siniaki. Ale to, mimo wszystko, łatwiejsze od chodzenia na krzywych nogach.

Czy jest jakaś rola, której Pani dotąd nie zagrała, a chciała by zagrać?

Owszem. To rola Kleopatry w sztuce Szekspira. Zagrałam tylko Kleopatę, którą specjalnie dla mnie napisał mój przyjaciel, hrabia Ludwik Hieronim Morsztyn. Partnerowali mi wtedy Władysław Hańcza, ze swoim wspaniałym głosem i Stanisław Jasiukiewicz, którego miejsce w Teatrze Polskim do dziś świeci pustką, bo nikt go nie zastąpił.

A jak ocenia Pani dzisiejszą młodzież aktorską, dla której,

jak wiem od niej samej, jest Pani żywą legendą?

Jeśli ktoś jest zdolny, to ja mu instynktownie i chętnie pomagam. Nie dlatego, że jestem aniołem dobroci, lecz że tworzy się wtedy w pracy szczególna więź. Natomiast bardzo nie lubię kółków w płocie, a niestety mamy ich w teatrze sporo. Nie ma co tego ukrywać. Tej nieciekawej młodzieży brak kultury, pasji i warsztatu. Ona goni tylko za pieniędzmi. Nigdy nie reklamowałabym proszku do muszli klozetowej. Nawet za bardzo duże pieniądze.

A biżuterię?

Jedynie, co być może mogłabym reklamować, to perfumy Guerlaina, które uważam za coś zbliżonego do poezji. Widzi pan, kiedyś gnębiła nas cenzura, a dzisiaj komercjalizm. I to bardzo głupio pojęty. Być może publiczność mieszczańska wolałaby oglądać permanentnie jakiegoś „Wicka i Wacka” czy „Damę od Maksima” i dlatego rozkładają się sztuki ambitne, bo na nie chodzą nieliczni.

Cechą Pani aktorstwa jest szczególny akcent, którym się Pani posługuje.

Jan Kurnakowicz miał w głosie Wilno, Janina Romanówna Lwów, a ja mam Brześć nad Bugiem. W szkole dramatycznej mi go częściowo zostawiono, abym nie mówiła sztucznie.

Mój Boże, iluż to naszych wielkich ludzi pochodzi z Kresów. Warszawa nie wydała prawie nikogo wielkiego.

Jest Pani poetką. Kiedy się to stało?

Moja poezja zaczęła się w gimnazjum. Ponieważ teatr bardzo

pochłania, pożera, jest w ogóle zajęciem wampirycznym, to pisałam swoje wiersze do szuflady. Później zaczęłam je z tej szuflady wyjmować, zasięgać rady ostatniego żyjącego Skamandryty Jarosława Iwaszkiewicza. Cała plejada Skamandrytów, z wyjątkiem Lechonia, to moi wielbiciele.

Czy ciągle Pani pisze?

Tak. W tej chwili piszę prozę. Dwa wydawnictwa namawiają mnie na kolejne teksty.

Co to będzie?

Będzie to historia dwu lat mego życia, od 1945 do 1947 roku, czyli do mego zamążpójścia. Piszę o różnych osobach, z którymi się przyjaźniłam. Nie czynię im krzywdy, ponieważ na ogół mówili mądre rzeczy. O samym małżeństwie pisać nie będę.

Kobiety są zainteresowane światem męskim w Pani życiu. Czy tylko raz była Pani zamężna? Taki ubogi był ten świat?

Był bardzo bogaty, choć rzeczywistości tylko raz byłam zamężna. Miałam licznych wielbicieli i przyjaciół.

Nie chciała Pani wychodzić za mąż po raz drugi?

Nie chciałam. I moja gospośnia też nie chciała, żebym wychodziła.

Nie potrzebowała Pani męskiego wsparcia na co dzień?

Do czego? Ja mam na szczęście wiele własnych sił. Kobieta, która dobrze zarabia, która koncentruje się na swej pracy, nie potrzebuje podpory. Zawsze byłam samowystarczalna. Jeśli zdarzał mi się wybór między bankietem u boku męża lub spektakl w teatrze, to zawsze wybierałam pracę. Mężczyzna, nawet najbardziej zakochany, może się odkochać. A praca jest wierna. Serdecznie tego życzę moim siostronom, kobietom. Będą miały o połowę dramatów mniej, nikt im nie będzie mówił: „Milcz, boś głupia”.

Czyll aktorstwo jest dla Pani sensem życia?

Tak. To był mój świadomy wybór, który się sprawdził i opłacił. Nigdy go nie żalowałam. Zmieniały się stroje, warunki, obyczajowość, kilka razy zaczynałyśmy życie od nowa, a zawód aktorski dawał mi zawsze możliwość tego rozpoczęcia. Gdybym była naukowcem, musiałabym klepać, że najwybitniejszymi uczonymi świata są uczeni radzieccy. W aktorstwie nie musiałam tego robić.

Nie grała Pani w socrealistycznych sztukach?

Skądże! Różni autorzy przynosili mi czasem swoje teksty. Mówiłam, że rozważę i odkładałam je na półkę. Socrealizmu nie zauważałam. Wtedy oszalamiające powołanie miała „Intryga i miłość”, która szła 320 razy.

Jest więc Pani szczęśliwym człowiekiem?

Niewątpliwie tak. Zresztą, ja sama umiem wykrzesać z siebie szczęście. Nie czekałam, że ktoś mi je przyniesie na talerzu. A na sukcesy trzeba pracować, bo same nie spadną z nieba.

Czy niczego Pani w życiu nie przeżęła?

Owszem. Nie mogłam wyjść za mąż za człowieka, z którym chciałam przejść przez życie. Napisałam o nim wiele wierszy.

Jak Pani patrzy w przyszłość?

Nie podoba mi się nasza epoka. Jest niehumanizująca i postępuje w niej dehumanizacja kultury. Na szczęście, mam teatr, który mnie przed tym chroni. Mogę uciec w świat wyobraźni.

Dziękuję Pani za rozmowę.

Rozmawiał Kazimierz Sobolewski